



Maria Rodziewiczówna

MIĘDZY USTAMI  
A BRZEGIEM  
PUCHARU

BUKOWY LAS



# I



Berlin spał. Pogasły światła po magazynach, po teatrach, po mieszkaniach filistrów, po suterrenach i strychach.

Gaz tylko migotał w ulicznych latarniach i świeciły jeszcze okna klubów karciarzy, restauracji podrzędnych, sal tańca i aptek.

Długa linia pałaców Pod Lipami spała też – drzemały kariatydy balkonowe, zapadały i ginęły w mroku ornamentacje okien i drzwi. Ruch tej pierwszorzędnej arterii ustawał. Z rzadka zaturkotał spóźniony powóz lub przechodzień przesunął się pośpiesznie, wracając z zabawy do domu: Berlin spał.

Tylko w pałacu hrabiny Aurory Carolath czuwano jeszcze. Dwa okna pierwszego piętra rzucały stłumiony blask zza ciężkich firanek, a za tymi oknami w prywatnym buduarze hrabiny, wyłożonym jak bombonierka, nie myślano o spoczynku. Młoda, cudownie piękna kobieta leżała na wpół na fotelu w koronkowym negliżu, obnażonymi rączkami rozplatając od niechcenia złote, przepyszne warkocze.

U jej nóg prawie, na taborecie, rozparty wygodnie, z głową na jej kolanach, młody jak ona i jak ona piękny mężczyzna przypatrywał się tej złotej fali, co mu chwilami muskała twarz, i nucił półgłosem *Lorelei*\*.

Para ta była na model dla malarza: ona – smukła, ślicznie zbudowana, o twarzy z greckiego posągu, ale żywej, załotnej, a śmiejącej się całym urokiem białych ząbków, korалowych ust i zmrużonych, sfinksowych oczu; on – wybujały jak topola, silny, dumny, ciemnowłosy, zapatrzonej w kobietę całym ogniem wyrazistych ciemnoszafirowych źrenic.

Był w nim pierwiastek germański wielkiej siły i twardego wyrazu, a obok tego jakiś inny typ – delikatniejszy, ognisty, zuchwały a wesoły. W spojrzeniu była dziwna mieszanina – pożądania i cynizmu, swawoli i przesytu: musiał to być człowiek bardzo szczęśliwy, bardzo bogaty i bardzo pieszczony przez życie.

– Wszak odesłałeś konie, Wentzel? – zaczęła po małej przerwie piękna pani.

– Naturalnie.

– Lubię cię za to!

– Za co? – spytał, biorąc pierścień jej włosów i bawiąc się nim.

– Za to, że mną się nie afiszujesz.

Młody człowiek się zaśmiał.

– Nie uznaję tego za pochwałę. Afiszują się tylko błazny i parweniuse. Czyż mnie zaliczasz do jednej z tych kategorii?

– Ejże, bohaterze! Zdarza się to i tobie!

– Może być. Jeżeli kogo nie cenię lub nie kocham.

– Więc mnie cenisz i kochasz niby?

– Tak, ciebie jedynie, teraz i podobno zawsze!

---

\* Tytuł pieśni Ferenc Liszta.

– A jednak dla mnie nie poświęciłbyś tysiąca owych stosunków, gdzie nie cenisz i nie kochasz?

– Nie, jutrzeńko. Ani jednego!

– Pfe! Prawisz impertynencje.

– Pfe! Jesteś zazdrosna jak subretka! – odrzucił wesoło, całując białą rączkę.

– Wiesz, stanowczo zrywam z tobą! Nie chcę być jedną z wielu.

– Ja jednak cierpliwie znoszę takie stanowisko.

– Ty szkaradna istoto! Powiedz choć jedno.

– Dziesięć, Auroro! *Primo*: twój mąż...

– Ech, admirał to amfibia, już dwa lata go nie widziałam i żeby nie portret w sali, tobym nie poznała bez rekomendacji.

– *Secundo*: księżę Herbert.

– Ach, nonsens! Zaśmiałam się może parę razy.

– *Tertio*: ten kuzynek z Harcu!

– Musiałeś dzisiaj pić za wiele przy kolacji... bredzisz!  
– rzuciła z dąsem, a potem nagle przechyliła się ku niemu i skubiąc zalotnie jego kędzierzawą czuprynę, spytała z przymileniem: – Ale ty mnie kochasz, szkaradniku... nie rzuciłbyś dla nikogo!

– Dla nikogo, nigdy, Auroro! – odparł bez namysłu.

– Słowo hrabiego Croy-Dülmena?

– Słowo twojego Wentzla.

– Masz, pocałuj mnie za to.

Chwilę milczeli oboje w namiętym uścisku i pozostali przytuleni do siebie, szepcząc stłumionym głosem.

– Wiesz – mówiła kobieta – czemu dziś takam niespokojna? Cały świat cię swata, żeni na gwałt! Zastawiają na ciebie sieci, spiskują, intrygują! Ach, po coś ty taki bogaty, wielki pan, pierwsza partia, i taki piękny!

– Ciekawym, czybym tu siedział, gdyby mnie los stworzył chromym, zezowatym, rudym i lampucерem\* na przykład? Któż to mnie pożąda?

– Wszystkie panny, wdowy, rozwódki i mężatki! Wszyscy ojcowie, opiekunowie, matki, ciotki itd. Imię ich: legion!

– Włosy mi się jeżą ze zgrozy.

– I nic więcej?

– Nic!

Kobieta złote swe włosy okręciła mu około głowy i szyi i zaciskając te czarodziejskie, jedwabiste pęta, szeptała w pocałunkach:

– Och, a ja cię tak kocham... ubóstwiam... nie dam nikomu, nigdy!

Mógł być dumny i próżny ten człowiek – i nie dziw, że do gruntu popsuty był swym szczęściem.

Tymczasem zegar w sąsiednim pokoju wybił powoli drugą godzinę.

Metaliczny dźwięk zbudził oboje. Hrabina drgnęła przerażona, hrabia wstał opieszale.

– Będziesz mi zlorzeczyła, moja jutrzeńko! Nabawię cię złej cery i migreny, a jutro bal u księżąt Hohenlohe! Dobranoc!

Ucisnął ją raz jeszcze, ucałował rękę i wyszedł dobrze sobie znanym bocznym przejściem. W bramie zapalił cygaro, podniósł kołnierz paltota, bo go chłód owiał – i z rękami w kieszeniach ruszył ku domowi.

Pałac jego leżał niedaleko, ale go nie nęcił spoczynek; skręcił w boczną ulicę i poszedł bez celu, ot tak, żeby rozprostować nogi, może opędzić się od chwilowego rozdenerwowania.

Półgłosem nucił znowu *Lorelei*.

---

\* Lampucер (niem. *Lampenputzer*) – latarnik miejski.

Nagle, o kilkanaście kroków przed sobą, ujrzał dwie postacie – kobietą i mężczyznę; doleciał go głos niecierpliwy, a drugi natrętny; potem kobieta przyśpieszyła kroku – szukała widocznie obrony w ucieczce – mężczyzna nie ustępował.

– Daj buzi, panienczko! – Hrabia posłyszał głos swego znajomego, sławnego birbanta i awanturnika. – Znak nie będzie na ustach, a jak mi dasz, to ci oddam! Po nocy wszystko wolno. Ejże, nie uciekniesz! Po woli czy po niewoli!

Kilku skokami dopędził uciekającą, ujął ją za ramię – był widocznie tego podchmielony.

Kobieta szarpnęła się gwałtownie i dostrzegając hrabiego, rzuciła się ku niemu.

– Proszę mnie odprowadzić do domu! – rzekła zdyszana, wsuwając rękę pod jego ramię.

Napastnik poskoczył – znalazł się oko w oko z hrabią – zdumiał się.

– A, to ty, Wentzel! No, nie przeszkadzaj! Albo pomóż dać rady tej zbłąkanej turkawce. Widziałeś, ładna!

– Tę panią ja, mój drogi, odprowadzę do domu, bo mnie o to prosiła! Odegrałeś swoją rolę, idź za kulisy i odeśpij chmiel należycie.

– A to co znowu? Idź swoją drogą! Jak dostanę buziaka, to ci pozwolę o drugi się postarać! Marsz, panie ekskapitanie, do koszar!

Postąpił o krok, wyciągnął rękę do kobiety, ale hrabia ją zasłonił sobą, zmarszczył brwi.

– No, dosyć tego! Przegrałeś bitwę, panie baronie Wertheim, bierz się do odwrotu. Ze mną sobie nie pozwalaj, bo możesz pożałować. Dama ta jest i zostanie pod moją opieką, dopóki zechce, a panu, jeśli się to nie podoba, zostaje wolna droga rozmówienia się ze mną jutro, w moim mieszkaniu. Marsz!

– Rozmówimy się na szpady, panie hrabio Croy-Dülmen! – krzyknął podpity panicz.

– A choćby na szydła! Jak się panu podoba! – odparł swobodnie hrabia. – Tymczasem żegnam!

Minął napastnika i spytał kobietę o adres. Baron włożył rękę w kieszenie i roześmiał się lekceważąco:

– Wylazło szydło z worka, Metysie! Warcholska krew twych przodków po kądzieli nie ginie. Jako Niemiec, ja burd nie lubię. Ustępuję z placu.

Po pięknej twarzy hrabiego przeszedł gorący rumieniec: uwolnił rękę kobiety, obrócił się jak ruszony sprężyną.

– Powtórz, błaznie! – krzyknął zdławionym od wściekłości głosem.

– Powtórzę! – odparł tamten zuchwale. – Jesteś mieszanelem; o tym wiesz sam dobrze i nie ja pierwszy ci to mówię.

– I nie pierwszy odpowiesz za obelgę. Przodkowie moi walczyli pod Barbarossą, byli tak rdzennie Germanami, jak góry Schwarzwald i Sprewy; każdy z nas służył krajowi dłonią, głową, mieniem, wszystkim. Mam krew mieszaną... ha! Za to ci jutro twoją czystą wytoczę, jakem Prusak!

Głos mu świstał przez zaciśnięte zęby; wziął ramię przeciwnika i wstrząsnął nim. Przewyższał go o głowę, a uścisk był żelazny.

– Ruszaj pan swoją drogą, bo dalej nie ręcę za siebie. Mogę zapomnieć, żeśmy obaj szlachtą.

Wyraz jego twarzy i ton zmieszały barona i oprzytomniły; usunął się na bok i zginął w bocznej ulicy.

Młody człowiek zwrócił się do swej damy i uchylił kapelusza.

– Pani daruje zwłokę. Służę.

Rozdrażnienie drgało mu jeszcze w głosie, a twarz przed chwilą niefrasobliwa i uśmiechnięta, zachowała wyraz dzikiej zaciętości i ledwie hamowanego wybuchu.



Kobieta przez ciąg tej sceny stała opodal i słuchała uważnie, z brwią ściągniętą i widoczną przykrością. Twarz jej, delikatna, blada, mieniła się tysiącem wrażeń. Wielkie piwne oczy patrzyły ostro na hrabiego. Widniały w nich gniew i obraza. Niecierpliwie zagryzła usta.

Gdy jej podał ramię, usunęła się na bok i ruszyła na-przód w milczeniu.

Piękny panicz czuł się w obowiązku zagaić rozmowę.

– Co za mgła! – rzekł już swobodniej, równając się z nią. – I ani jednej dorożki. Nie śmiem proponować pani zwrócenia się do mego pałacu. Karetą byłaby za pięć minut.

– O, dziękuję. Mgła mi nic nie szkodzi... Żeby nie przykre spotkanie... Droga moja zaraz się kończy!

Mówiła po francusku bardzo poprawnie, więc i on zaczął w tym języku.

– Może mi pani pozwoli nieść pakiecik – rzekł, wyciągając rękę po flaszeczkę, którą trzymała.

– Dziękuję. To lekarstwo, tak trudno zdobyte, doniosę sama – odparła.

– Pani ma kogo chorego?

Skinęła tylko głową.

Obserwował ją spod oka. Była istotnie uderzająco piękna – pięknnością poważną, klasyczną, nakazującą szacunek i względy. Trzeba było być bardzo pijanym lub zuchwałym, by ją zaczepić jak pierwszą lepszą.

Głos miała głęboki, trochę ponury; rysy spokojne i chłodne; oczy zamyślane, głębokie, okryte rzęsami – podnosiła je rzadko; usta dumne, małe, musiały się bardzo niewiele uśmiechać.

Typ to był niepospolity – zwróciłby i w tłumie uwagę, patrząc na nią, uczuwał się gwałtowną chęć zbudzenia życia w tych poważnych rysach, rozjaśnienia śmiechem ust zaciętych, rozświecenia blaskiem mrocznych źrenic.

Byłaby wtedy porywającym czarem.

Hrabia był znawcą i bałamutem z zawodu. Wspomnienie barona zbladło mu w pamięci, postanowił – on, niezwalczony Antinous\* – spróbować swej siły i zręczności, pobawić się jak tamten. Noc i tak miała się ku schyłkowi.

– Pani jest cudzoziemką? – spytał.

– O, najzupełniej!

– Sądząc z tonu, nie lubi pani Niemców.

– Jak mało czego na świecie – odparła szczerze.

– Pani ma do tego jakie powody? Jesteśmy przecie pierwszym narodem w Europie.

– Pod względem zarozumiałości, niezawodnie.

– Nie, pani. Szanujemy się tylko. Chęć przodowania i duma są godłem siły, energii i rozumu. Wielkość swoją cenimy, bośmy ją ciężko zdobyli.

– O, pan ją ceni niesłychanie. Słyszałam to przed chwilą.

– I pani by nie zniosła, gdyby zarzucono wam pochodzenie... żydowskie na przykład.

– Jeżeli matka pana była Żydówką, powinien pan Żydów szanować przez pamięć na nią.

– W tym się najzupełniej z panią nie zgadzam. Jeżeli matka nasza była straganiarką, nie czujemy się przecie w obowiązku zachwyty dla przekupek, ani nam to chwały przysparza. Matka moja była Polką z Poznania; ojciec mój zrobił mezalians, za który ja pokutuję! Jest to plama na tarczy herbowej Croy-Dülmenów. Polaków nie cierpię. Stosunków z nimi nie miałem i mieć nie będę, a jednak nazwa „mieszaniec” przywarła do mnie, choć już trzech śmiałków za nią odpokutowało, a jutro czwarty odpowie!

---

\* Antinous – grecki młodzieniec, faworyt cesarza Hadriana; tu: ideał męskiej urody.

Zapalił się i uniósł. Słowa mu płynęły gniewne, burzliwe, pełne wzgardy i lekceważenia. Kobieta podniosła nań wzrok poważny, zatrzymała chwilę na jego twarzy przejmującą spojrzenie, zmarszczyła ciemne brwi.

– Człowiek, który się wstydzi swego pochodzenia, jest albo nikczemny, albo słaby! – rzuciła przez zęby.

– Pani jest bardzo surowa dla mnie, nieznajomego.

– Owszem, znam pana. Ma pan pałac Pod Lipami, dobra nad Renem, kapitały w banku. Posiada pan nadto: starego opiekuna, majora Koopa, ciotkę, Dorę von Eschenbach, i wiele, wiele serc sentymentalnych Niemek na własność. Jest pan próżniak, hulaka i pyszałek, sławny z piękności, salonowych manier, wielkiej odwagi i dyskrecji. Czy się pan poznaje z tego portretu?

– Z tej karykatury, pozwoli pani dodać? – Zaśmiał się swobodnie. – Sława moja musi daleko sięgać, jeśli doścignęła aż obcych, za granicami Prus. Pani Francuzka?

– Jestem z rzeczypospolitej San Marino – odparła z lekkim uśmiechem.

– Jeżeli damy w owej republice są do pani podobne, to ubolewam nad dolą tamtejszych obywateli. Biedacy muszą być jak Bayard\*, *sans peur ni reproche*\*\*.

– Bayard nie uważał się wcale za biedaka, o ile pamiętam z historii, a nasi obywatele, chwala Bogu, nie są w niczym do Prusaków podobni. Mamy dla nich należne względy.

– Muszą to być bardzo lodowate względy.

– Kto co lubi. Nasze mężatki nie przyjmują paniczów po buduarach; nasze panny nie noszą serc na dłoni i na

---

\* Pierre du Terrail de Bayard – dowódca wojsk francuskich, ostatni rycerz bez trwogi i skazy; ideał rycerza.

\*\* bez trwogi i skazy (fr.)

ustach; nasze matrony nie kupczą krasą swych córek! Jesteśmy jednak kochane stokroć silniej niż wasze *Fraülein*\* i *Medames*\*\*.

– Syzyfowa praca być musi dla zdobycia owych serc ukrytych.

– Nasi mężczyźni do tego przywykli.

– Winszuję, ale nie zazdroszczę. Nie lubię z zasady trudnych rzeczy.

– Wszakżem panu mówiła, żeś próżniak. Toteż serca nasze nie dla pruskich knechtów, ani dla rycerzy Barbarossy! My i wy... to antypody!

Stanęła nagle i zwróciła się do niego.

– Oto i koniec pana poświęceń i mojej wędrówki. Dziękuję za grzeczność i obronę.

– Czy w San Marino za usługę nie płacą? – spytał z uśmiechem.

– Owszem, jeśli wymagania słuszne. Mogę panu dać za kurs posłańca.

– To za wiele! Nie chodzi tu o kurs, ale o życie moje, które jutro narażę za panią.

– Za mnie! – Zaśmiała się ironicznie. – Sprzeczkę o kobietę zapilibyście jutro szampanem. Pan będzie walczył o swój honor pruski, niecierpiący skazy mezaliansu z Polką czy Żydówką. Za to... ja nie płacę.

– Będę miał dwa pojedynki, jeśli nie padnę. Szampanem nie łagodzę sprzeczek. Otóż za ów pierwszy pani powinna płacić, a raczej dać coś od siebie, żebym wiedział, za co się biję.

– Na przykład co?

– Ach, drobiazg! Pamiątkę... jeden pocałunek...

---

\* Panna (niem.)

\*\* Pani (fr.)

Cofnęła się o krok, zarumieniła jak maki polne i rzucając mu spojrzenie obrażonej królowej, odparła z niesłychaną dumą:

– Na ten drobiazg nie starczyłoby panu milionów. U nas się nie sprzedaje pocałunków. Daje się je darmo albo nie daje wcale!

– A żeby dostać?

– Żeby dostać, trzeba być obywatelem rzeczypospolitej San Marino i szlachetnym człowiekiem... wówczas można proponować!

– Więc dla mnie droga zamknięta?

– I owszem! Gdy pan przyjmie jako obrazę, jeśli cię kto nazwie Prusakiem, wówczas, przed takim pojedynkiem, ja panu zapłacę!

Hrabia uklonił się głęboko.

– Pani raczy żartować! Ha, trudno! Miałem w swym życiu wiele niedorzecznych pojedynków, przybędzie jeszcze jeden! To mi jest pociechą, że będę się bił za kobietę bardzo piękną, bardzo wykształconą... i bardzo niedostępną.

– Za komplement dziękuję i żegnam! – rzekła szyderczo.

– I ja dziękuję za kilka moralnych nauk i... do zobaczenia. Postaram się zobaczyć jeszcze panią.

– Jeśli mnie pan odszuka, o czym wątpię. Do San Marino bardzo daleko, a pan próżniak.

– Mogę się założyć, że panią znajdę za tydzień, choćby na antypodach. Umieć być wytrwały, a co postanowię, tego dotrzymam!

– Zakład przyjmuję. Żal mi daremnej pana fadygi, ale trochę upokorzenia zarozumiałości pójdzie panu na zdrowie. Zatem, do widzenia!

Przesunęła się jak cień obok niego i wsunęła w bramę. Rozejrzał się na prawo i lewo, zanotował numer domu, nazwę ulicy, ziewnął i zawrócił.

– Ciekawym, czy ja zobaczą dom dzisiejszej nocy i czy dopalę cygara? Pyszna dziewczyna! Hm! Aurora lepiej zbudowana, Lidia jeszcze sprytniejsza, a jednak ta coś ma. Pewnie ktoś z Alzacji czy Lotaryngii. Narobiliśmy sobie tam przyjaciół... aż miło, jak nas lubią. Hu! Żeby z taką mieć romans! Byłoby to coś nowego i niepospolitego! Jutro będę wiedział, co za jedna. Pyszna dziewczyna! Aaaa! Jak mi się spać chce!

Przyśpieszył kroku. Po chwili czarny kontur pałacu Croy-Dülmen zastąpił mu drogę. Minał główną bramę, w rogu budynku przystanął, dobył klucz z kieszeni i otworzył niepozorną, w korniszach ukrytą furtkę.

Klucz obrócił się lekko – snadź był często w użyciu – drzwi się otworzyły bez szelestu, tajemniczo i wpuściły pana w galerię oświetloną gazem, wysłaną dywanami. Wzdłuż ścian kwitły cieplarniane rośliny, po niszach uśmiechały się posągi nimf i bachantek.

Na krześle u wnijścia drzemał młody lokaj, na którego twarzy bez zarostu malowały się znużenie i niepokój. Był on uosobieniem służbistości gotowej na wszystko, wytrwałej na stanowisku. Na szelest drzwi porwał się, wyprostował jak struna, zamknął tajemniczą furtkę i ruszył za panem o trzy kroki, nie odzywając się pierwszy.

Z galerią łączyło się prawe skrzydło pałacu, mieszczące w sobie kawalerskie pokoje hrabiego; we frontowym gmachu były recepcyjne salony i apartamenty panny Doroty von Eschenbach; lewą stronę zajmowała służba.

Dopiero w swym gabinecie młody pan się zatrzymał, usiadł w fotelu i ziewnął po raz setny.

– Aaaa... szklanek kseresu, Urbanie!

Nim skończył ziewnięcie, rozkaz był spełniony. Wypił wino, otarł wąsy i sięgnął opieszale po stos listów na stole.

– Że też tym ludziom nigdy nie zabraknie konceptu i atramentu! – mruczał niecierpliwie. – Prawda, że te wszystkie miłe misywy\* śpiewają dwa psalmy: pieniędzy i miłości! Aaaa... Herbert się zgrał... Lidia chce brylantowych kolczyków. Idiotyczne istoty! Daj mi tu papieru i pióra, Urbanie!

Przez zielone story gabinetu brzask się wdzierał – hrabia wyglądał haniebnie zmęczony.

Nagryzmolił śpiesznie dwa bileciki, położył adres i skinieniem wezwał bliżej lokaja.

– Listy te odeślesz zaraz, a tamte spalisz, oprócz tego jednego. Przygotuj pistolety i szpadę... Będę się bił... Ale milczeć o tym! Nie budź mnie pod żadnym pozorem, choćby się paliło, chyba gdy ci panowie przyjdą. Nikogo zresztą nie przyjmować, zwłaszcza kobiet. Rozumiesz?

Lokaj skłonił się w milczeniu. Odzywał się tylko w nadzwyczajnej potrzebie z konieczności. Hrabia ledwie się rozebrał, już spał. Uleciały mu z myśli piękne panie, niemiecki honor, pojedynki; odpoczynku tego nie oddałby za uścisk hrabiny Aurory.

---

\* Misywa – pismo, odezwa, orędzie; tu: list.






Polub nas  
na Facebooku



**KUP TERAZ**



swiatksiazki.pl



Berlin przełomu XIX i XX wieku.  
Młody, przystojny i niezwykle frywolny hrabia  
Wentzel Croy-Dülmen uwielbia towarzystwo  
urodzivych kobiet. Nie przyznaje się do swego  
polskiego pochodzenia, a nawet gardzi wszystkim,  
co polskie. Kiedy jednak poznaje piękną  
Jadwigę Chrzęstkowską, w jego postawie  
następuje całkowita przemiana...



bukowylas.pl

Polub nas na  
Facebooku



Cena 49,90 zł  
(w tym VAT)